

Wojciech Stanisławski: W dolinie Hostowca

Nowe wydanie „Pamiętników” Stanisława Stempowskiego jest fascynującym obrazem ukraińskiego nurtu myśli i aktywności polskiej. Pozwala też na nowo zrozumieć, co kształtowało rodzinę i krąg eseistów, działaczy i państwowców.

Tak, te wspomnienia funkcjonowały w swoim okrojonym przez cenzurę roku 1953 obiegu czytelnictwa i naukowym: sięgali po nie badacze historii ziemiaństwa podolskiego, PPS-u, biografowie Jerzego Stempowskiego, a ciekawi lat wojny i rewolucji na Ukrainie docierali bez trudu do ostatnich rozdziałów dzieła, przemyconych na Zachód i wydanych w „Zeszytach Historycznych” w Maisons-Laffitte. Ale ich autor od lat pozostawał gdzieś w tle, obecny jako postać drugoplanowa w książkach głośniejszych i częściej wertowanych: „Stach” lub „St.” w pełnej edycji „Dzienników” Marii Dąbrowskiej, „ojciec” w kolejnych odwołujących się do czasów sprzed pierwszej wojny światowej esejach Jerzego. Sam Stanisław Stempowski wydawał się w ostatnich latach dzielić los wielu innych postaci historycznych, ważnych dla danego środowiska, lecz przywoływanych w trybie raczej emblematycznym niż pogłębionym. Ilu z tych, którzy z oburzeniem (słusznym) wspominają o rewizji, przeprowadzonej w jego mieszkaniu w 1938 w ramach inicjatywy „antymasońskiej”, z uznaniem (słusznym!) przywołują jego rolę inspiratora i pośrednika dla wielu inicjatyw kulturalnych Dwudziestolecia znało szczegóły jego biografii i wyborów, przeczytało w całości pierwszą edycję „Pamiętników”?

Obecne wydanie „Pamiętników 1870-1920” – pierwsze pełne, co więcej w znakomitym, wyczerpującym, choć może nieco zbyt zdradzającym sympatie redaktora opracowaniu – zmienia ten stan rzeczy. Mam wrażenie, że Stanisław Stempowski wraca, przynajmniej na pewien czas, jako żywa, pełnokrwista postać czy może nawet bardziej przedstawiciel wyrazistych racji czy przekonań. Nie jest to rzecz częsta w przypadku osób, których *akme* życia miało miejsce przed stu laty, podobnie, jak nie jest częste wznawianie tak obszernych wspomnień (trzy tomy, w sumie ponad 1300 stron), zwłaszcza przez stosunkowo niewielką oficynę.

Przeczytaj również: Stanisław i Jerzy Stempowscy – fragment książki Andrzeja Dobosza

Sądzę, że zarówno za wydawniczą decyzją o wznowieniu (oraz równoległym przygotowaniu, przy wsparciu „Poloniki”, pierwszej edycji ukraińskiej!) jak za „aktualizacją” osoby i poglądów Stempowskiego seniora stoi ta sama okoliczność: paląca potrzeba przemyślenia relacji polsko-ukraińskich, ich dynamiki, ewolucji, porohów i przyszłości. Potrzeba, dla której głównym impulsem może być nawet nie sam dramat zaatakowanej przez Rosję Ukrainy, co wynika z tego zadania, wyzwania i napięcia w relacjach Kijowa i Warszawy, a także z każdym miesiącem wyrażane w Polsce coraz bezwstydniej emocje antyukraińskie. Oczywiście, w jakiejś mierze inspirowane przez współczesną Rosję; płynące jednak również z głębszych pokładów uproszczonej pamięci, z rodzimych źródeł. „Myśl Giedroycia”, traktowana jako wydmuszka, liczman, mantra, już na to nie pomoże. Pomocnym może się okazać sięgnięcie do głębokich doświadczeń ukraińskich: a ich niedościgłym zapisem pozostają „Pamiętniki 1870-1920” Stempowskiego.

Zdumiewające: bo przecież na pozór wspomnienia te (sam autor wahał się między kilkoma wersjami tytułu: wydawca przekonująco tłumaczy pozostanie przy formule „Pamiętników..” na karcie tytułowej, gatunkowo jednak mamy do czynienia przede wszystkim ze wspomnieniami), niezrównane, jeśli idzie o plastyczność, wielość szczegółów, trudną do objęcia czytelniczą pamięcią galerii typów ludzkich pozostają jednak na pozór, szczególnie w pierwszym tomie, zapisem „krainy lat dziecinnych”: sielanki bardzo odległej w czasie. Dodajmy – odległej nie tylko „w czasie obiektywnym” (bagatela, półtora wieku!), płynącym przecież coraz szybciej, lecz dodatkowo oddalonej przez znalezienie się w swego rodzaju „leju” czy może jarze temporalnym. Niedawno omawiałem w tym miejscu biografię Melchiora Wańkowicza, chlubiącego się, że w Kałużycach czas płynął po trosze XVIII-wiecznym rytmem; to jednak, co u Wańkowicza przemknęło w jednym zdaniu, we wspomnieniach Stempowskiego odzywa się co chwila. To nie tylko stojące w bibliotekach kolejnych domów dzieła zebrane „Woltera i Russa”; to tychże filozofów popiersia, prowincjonalni nauczyciele i rezydenci na łaskawym chlebie upinający harcapy, a kubek nakrywający od much „kartonem z wizerunkiem Trembeckiego”. Niezwykłe to świadectwo żywotności tradycji Oświecenia polskiego (na co dzień lekceważone w wyobrażeniach uformowanego przez romantyków wieku XIX), wiele też tłumaczące z wyborów samych Stempowskich.

Użycie przeze mnie terminu „sielanka” jest przy tym niedopuszczalną łatwizną. Oczywiście, można ją usprawiedliwić tym, że w pierwszych rozdziałach niemało jest słodczy i małych katastrof dzieciństwa; nie są jednak „Pamiętniki...” sielanką bardziej niż „Pan Tadeusz” czy może „Noce i dnie”. Są bardzo rzetelnym, pogłębionym przez socjologiczne zacięcie autora, opisem licznych subwariantów losu drobnej szlachty,

oficjalistów i urzędników, różnych – sztywny to termin – „wariantów koegzystencji” Polaków, Rusinów, Ukraińców, Rosjan (często określanych „kacapami”), Żydów, Cyganów i Besarabian na Podolu od drugiej połowy XIX do początku XX wieku.

Nie, nie ma tam zgoła nic z sielanki: słodycz pierwszych lat płynących pod opieką Sawety i Jewtucha, wpływających na przeglądaniu książeczek z mleczną siostrą Kateryną Kolesnik doskonale skontrastowana jest z brutalnością maruderów i części włościan znoszących w 1917 roku dwór w Witkowicach, dokonujących rabunków i morderstw w porewolucyjnych miesiącach i latach. Jest natomiast oczywista, nie wymagająca żadnych deklaracji, wspólnota podolskiego losu Polaków i Ukraińców. Owszem, mogła być nieoczywista dla mieszkańców Warszawy czy Poznania: dla Stempowskiego potwierdzana była choćby przez odruchową, można by rzec, wyssaną z mlekiem matki (mlecznej) dwujęzyczność, której echa dostrzegamy w przytaczanych porzekadłach („Jak w Szatawi jarmarok”), przyśpiewkach czy po prostu pysznych ukrainizmach, jak ta „pałachkocąca płomieniem czeluść”, ujrzana w hucie szkła. Deklaracje padały dopiero w życiu dorosłego Stanisława – dla którego oczywistością, na wiele lat przed pierwszą wojną światową, przez programami „federalistów” i kalkulacjami prometeistów stanie się równoległa droga narodu polskiego i ukraińskiego do niepodległości i republiki.

Przeczytaj również: Mel wulkaniczny. Biografia totalna Melchiora Wańkowicza

Bogactwo fabularne tych wspomnień, wielość utrwalonych typów i „stanów”, dramatycznych momentów i wyborów, nie poddaje się łatwemu wyliczeniu, dostrzegalna jest za to na pierwszy rzut oka.

Warto natomiast wymienić, w znacznej mierze za autorem opracowania, kilka kwestii trudniej zauważalnych.

Po pierwsze – to, że wspomnienia te, na pozór spontaniczne niczym gawęda, poprzedzone zostały solidnym „przygotowaniem teoretycznym”. Stempowski nad spisaniem obrazów ze swego życia, czego w większości dokonał ostatecznie w latach drugiej wojny, rozmyślał na wiele lat wcześniej. Znał i badał wiele opublikowanych lub znanych tylko w wąskich kręgach pamiętników ziemiańskich; bardzo krytycznie odnosił się do relacji (w jego oczach często jednostronnych lub upraszczających) z „pożogi”, jaka ogarnęła w latach 1917-1920 polskie majątki i gniazda na Wschodzie. Fascynował się dziełem Prousta – ale też był inicjatorem i współwydawcą kolejnych serii przedwojennych „źródeł wywoływanych”, czyli pamiętników chłopów, emigrantów i bezrobotnych pomyślanych nie tylko jako źródło socjograficzne, ale i narzędzie odnowienia polszczyzny. Te wspomnienia (czego nie byliśmy dotychczas świadomi) były w różny sposób (zarówno w kwestii ram czasowych, jak doboru i pomijania różnych wątków) limitowane tragicznym doświadczeniem śmierci w roku 1920 najmłodszego syna Stanisława, Pawła Stempowskiego.

Ale były też, znanym każdemu piszącemu, mierzaniem się z nienazywalnością. W kilka zaledwie wersów po podniosłej deklaracji, od której rozpoczyna się „Przedmowa” („Życie ma się ku końcowi. Korci jeszcze raz je rozgarnąć przed oczami i zobaczyć, jak spieszyło się od niewiadomego początku do niewiadomego końca”) pojawia się świadectwo kłopotów z kipiela pamięci: „...wspomnienia (...) jakby się ośmieliły – napływały wśród gwaru dnia powszedniego, wywołane z nicości jakimś dźwiękiem, słowem, zapachem (...). Wreszcie rozpanoszyły się tak, że czyhały jakby na każde zawieszenie mojej

uwagi. Sen z otwartymi oczami: cisną się zupełnie zapomniane twarze, słowa, gesty, drzewa, psy, miedze, szmery, zapachy – wszystkie nic nieznaczące i niedostrzeżone w swoim czasie n i c e. Mam wrażenie, że życie moje toczyło się na jakimś podglebiu właśnie z tych «niców».

Te «nice» miały swoje losy, doskonale odtworzone przez wspomnianego już edytora, Łukasza Mikołajewskiego. „Pamiętniki...” w dzisiejszej edycji to wynik licznych „cudów” (dość wspomnieć, że gros rękopisów odkopał w popowstaniowej Warszawie Stanisław Lorenz!) i wielkiej pracy nad kolacjonowaniem różnych wersji rękopisów i maszynopisów zachowanych w BUW, w archiwum Instytutu Literackiego i w Muzeum Literatury. To również niepowtarzalne studium nad różnymi warstwami ingerencji cenzorskich i autocenzorskich. Okazji było po temu wiele, Stanisław Stempowski nie tracił bowiem nadziei na wydanie wspomnień w powojennej Polsce i równolegle ze staraniami o wydanie książkowe (które ostatecznie zaistniało w rok po jego śmierci, u progu „odwilży”, w nader ograniczonym nakładzie i za wstawiennictwem Jana Kotta) usiłował zamieścić fragmenty w ukazujących się wówczas w PRL czasopismach. Ślady ingerencji cenzury państwowej, gdyby nie były oburzające, można by uznać za zabawne: cenzor za gorszące uznał nie tylko wzmianki o fizycznej pracy na roli Huberta Stempowskiego, ojca autora, czy o całowaniu przez małego Staszka w rękę klucznicy Chrzanowskiej (zbyt ociepliłoby to wizerunek klasy krwiopijczej!), ale i zamienił „kacapa” na „stolarza”, „dworek” na „domek”, zaś „dżdżu” na „deszczu” (zbyt finezyjne?!).

Znacznie ciekawsze są jednak ingerencje dokonywane ręką samego Stanisława lub przygotowującej po jego śmierci rękopis do druku Marii Dąbrowskiej: tu znów niektóre zmiany są oczywiste i zdroworoządkowe (wykreślanie terminu „bolszewicki”, szczególnie w

sąsiedztwie słów „najazd” czy „pogrom”, pomijanie zbyt ostrych określeń dalszych członków rodziny). Inne budzą więcej namysłu: czym tłumaczyć rezygnację z wycieczek pod adresem duchownych czy nie lubianych przez Stempowskiego sanatorów? Zapewne delikatnością – i niechęcią do tego, by prywatne animozje współbrzmiały z surmami propagandowych nagoniek. Czym jednak tłumaczyć inne opustki lub zmiany terminologii?

Edytor wspomnień, dr Łukasz Mikołajewski, adiunkt w Katedrze Historii Idei i Antropologii Kulturowej ISNS UW, dokonał ogromnej pracy, nie tylko zestawiając i scalając „Pamiętniki...”, nie tylko wskazując cenzorskie i autorskie ingerencje, nie tylko opatrując tekst setkami przypisów (czemu jednak przy ks. Zygmuncie Kaczyńskim, wypominając mu przedwojenną aktywność „antymasońską”, nie zechciał wspomnieć o powojennym „Tygodniku Warszawskim”?) i rektyfikacji, lecz i komentując w przypisach różne elementy narracji Stempowskiego. Szczególną uwagę poświęca stosunkowi autora wspomnień do „kwestii żydowskiej”, do kobiet i ich zaangażowań publicznych, wreszcie, jak to ujmuje, do „niestandardowych form związków emocjonalnych – w tym tych, które można nazwać dziś relacjami queerowymi *avant la lettre*”. I te decyzje autorskie zastanawiają.

Nie dlatego, by zagadnienia te nie były zajmujące – i by dzisiejszy czytelnik nie dostrzegł pewnej mizoginii pana Stanisława czy jego mniejszej niż współczesna wrażliwości na prześladowania społeczności żydowskiej. Sęk jednak w tym, że Łukasz Mikołajewski podejmuje potężny wysiłek, by stosunek Stempowskiego do tych zagadnień z jednej strony usprawiedliwić, z drugiej – sprobematyzować.

Tego rodzaju praktyka kojarzy mi się, niestety (choć trzeba zaznaczyć, że jest niesłychanie delikatna w porównaniu z inicjatywami publicystów czy dziennikarzy) z tym, co czymś, co mam za uchybienie, dotyczące sporą część czynnych współcześnie historyków czy filologów: za prezentyzm, grzech przykładania współczesnych standardów do zachowań i słów osób żyjących w odległej przeszłości – i (w radykalnym wariacie) oskarżania ich o odstępowanie od tych standardów, w łagodnym zaś – szukania okoliczności usprawiedliwiających.

Łukasz Mikołajewski praktykuje wariant łagodny – i pan Stanisław zostaje w jakiś sposób wytłumaczony z uprzedzeń wobec „Polaków z Galicji”, z (*horribile dictu!*) osób rudych czy z nieżyczliwych słów pod adresem przebiegłego Srula, plenipotenta właścicieli huty szkła – słów, zinterpretowanych już w przypisie jako „maskowany antysemicki kod kulturowy”.

Nie jest ta recenzja miejscem wygłaszania filipik przeciw „kulturze *woke*” – wolno jednak, mam nadzieję, westchnąć nad najzupełniej zbytecznym prezentyzmem edytora. Tak, Stanisław Stempowski był (jak każdy) człowiekiem swojego czasu, zanurzonym w jego języku i wyobraźni. Jako taki dopuszczał się wycieczek pod adresem kobiet, które uznalibyśmy za mocno niestosowne, nie ufał „rudym” i używał (podobnie jak ogromna większość mu współczesnych, włącznie z Tuwimem) polskiego zdrobnienia imienia męskiego Izrael (w jidyszowej wersji „Isroel”), dziś brzmiącego w naszych uszach nieznośnie pogardliwie. Konieczność podkreślania czy rektyfikowania tego faktu wydaje mi się świadectwem raczej przekonań i uprzedzeń edytora niż wymogiem warsztatowym.

Tego rodzaju świadectw jest zresztą więcej. Nieodmiennie zastanawia mnie – przy braku szczególnej sympatii dla tej formacji – coraz częstsze używanie w miejsce historycznych terminów „endecja” czy „narodowcy” określenia „nacjonaści”. Oczywiście, trudno tu zarzucić edytorowi grubą nieściskość: umieszczanie jednak pod wspólnym szyldem „nacjonalistów” endecji czasów Ludwika Popławskiego, gwardzistów Codreanu i współczesnych wyborców Marine Le Pen wydaje mi się mieć równie mało sensu, co wrzucanie do jednego worka jako „socjalistów” Gromad Ludu Polskiego, bolszewickiej frakcji SDPRR i elektoratu partii Razem.

Łukasz Mikołajewski idzie zresztą o krok dalej: charakteryzując niechęć formacji endeckiej do rodu Stempowskich (niechęć, dodajmy, odwzajemnianą) przywołuje znany, skandaliczny wierszyk Gałczyńskiego (słynną prośbę o „Noc Długich Noży”) określając go mianem już nie „faszyzującego”, lecz wręcz „nazizującego”. Oho! Miłosz, choć również nader daleki od sympatii endeckich, miał jednak więcej zrozumienia dla słowotoku Delty. Zwyczajowe (co nie znaczy, że nie nużące) jest utożsamianie przedwojennej „prawicy” i „Narodowej Demokracji”, nowszej szkoły (co nie znaczy, że nie nużące) - pisanie o „kolonialnym podejściu szlachty [podolskiej]” czy przełożenie w tytule obrazu przedstawiającego XVII-wieczną uczoną i filozofkę Cornelię Piscopę terminu „doctrix” na „doktorę”. Bolesne – przytoczenie jako jedynej pracy, traktującej o złożonym zagadnieniu postaw funkcjonariuszy „granatowej policji” książki Jana Grabowskiego.

Z tym wszystkim – tak drobiazgowa, tyle faktów i kontekstów wydobywająca edycja zasługuje na wielkie uznanie. Zaś dodatkowym – dla mnie przynajmniej – atutem tak wydanych wspomnień jest ujrzenie

w innym, może pełniejszym niż dotąd świetle Jerzego Stempowskiego.

Piszący o nim eseści i biografowie (na czele oczywiście z Andrzejem St. Kowalczykiem) wskazywali na „rodowód” Jerzego, na jego dzieciństwo w Witkowicach i wpływ, jaki wywarł nań ojciec. Podkreślali jednak również niezależność młodego eseisty, nie zerwanie może, ale dystans, pojawiający się z latami między Stanisławem a Jerzym, przypominający trochę napięcia między bliskimi im pokoleniowo ojcem a synem Witkiewiczem. W najsłynniejszych, najczęściej czytanych tekstach Jerzego – choćby w „Eseju berdyczowskim” – owszem, ojciec pojawia się jako towarzysz wizyty u krawców, nabożnie studiujących „Kapitał” Marksa. Wydaje się jednak, jakby Jerzy trafił tam niemal samodzielnie, jakby wspomnienie o dolinie Dniestru było jego prywatnym obszarem pamięci.

Lektura „Pamiętników...” – wolnych od drobiazgowych wywodów genealogicznych, przecież przywołujących „osiemnaścioro rodzeństwa [Stempowskich, którzy] nosili tak tęgie imiona jak Achilles, Wespazjan, Samson, Tytus, Eutolia, Olimpia” – uświadamia, jak bardzo w podolskiej Ukrainie zakorzeniony był cały ród; jak bardzo przywiązanie to przekazywane było z ojca na syna, wraz z anegdotami o sklepie Szafnagła, pojęciami w rodzaju tenuty, szarabanu czy oficjalisty, rusycyzmami i rutenizmami, nazwami miast i majątków, od Podwołoczysk po Szebutyńce. I jak bardzo był stamtąd również Jerzy, prosto spod popiersi Woltera i Russa – aż po swój najbardziej znany pseudonim, zaczerpnięty wprost z – jak informuje mnie ukraińska Wikipedia – dziewięciokilometrowego potoku, wzbierającego na stokach między wsią Czewenica a Hołoszyna i wpadającego do Białego Czeremoszu.

Wojciech Stanisławski



Stanisław Stempowski

PAMIĘTNIKI

1870–1920



**Stanisław Stempowski, „Pamiętniki 1870-1920”, t. I – III;
opracował, wstępem i przypisami opatrzył Łukasz Mikołajewski;
Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską,
Wydawnictwo Więź, Warszawa, 2025.**

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia
publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

➤ **Przeczytaj wcześniejsze**